GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 LIPCA 1937 R.

Nr. 14 ROK VII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 14
1937 R.
15 — VII

STALI WSPÓŁPRACOWNICY: CZESŁAW BOBROWSKI, HENRYK GRENIEWSKI, STANISŁAW GRYZIEWICZ, ALEKSANDER IVANKA, WACŁAW JASTRZĘBOWSKI, MICHAŁ KACZOROWSKI, PIOTR KALTENBERG, ZDZISŁAW ŁOPIEŃSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, STEFAN MEYER, JÓZEF PONIATOWSKI, WITOLD PTASZYŃSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI, ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI BOLESŁAW WŚCIEKLICA, JACEK RUDZIŃSKI, redaktor

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

O ZAŁOŻENIACH POLITYKI KONIUNKTURALNEJ

Zasadniczem założeniem polskiej polityki koniunkturalnej powinno być przewidywanie dalszych komplikacji gospodarczych w skali międzynarodowej i w związku z tem chronienie własnymi środkami rozwoju naszej koniunktury.

W ostatnich miesiącach pogłoski i przewidywania, tyczące się jakichś nowych i zasadniczych faktów w międzynarodowych stosunkach gospodarczych, przybrały na sile. Enuncjacje szeregu mężów stanu i czołowych kierowników gospodarstw wielkich potęg gospodarczych świata coraz częściej powracają do stwierdzenia konieczności nawiązania z powrotem „współpracy międzynarodowej". Francja i Wielka Brytania powierzyły belgijskiemu premierowi, p. van Zeeland'owi, misję wybadania opinii na temat tego rodzaju porozumienia. Kulminacyjnym punktem tej ankiety miała być, oczywiście, wizyta p. van Zeelanda u prez. Roosevelta, który przed czteroma laty swoją „niezależną" polityką manipulacji dolarem storpedował światową konferencję ekonomiczną w Londynie. O podróży p. van Zeelanda do Stanów Zjednoczonych mówi się ogólnikowo i stosunkowo mało. Nie tylko dlatego, że w tego rodzaju sprawach obowiązuje dyskrecja. Ale i, zdaje się, dlatego, że wyniki nie są zbyt pocieszające.

Polska opinia „nastawiła się" od samego początku kryzysu na ideologię oczekiwania pomocy od koniunktury światowej. U niektórych nadzieje były nawet konkretniejsze: tyczyły się one wprost — pomocy od wielkich rynków finansowych świata. Wbrew temu wszystkiemu, co się u nas mówi, tendencje „autarkiczne" są w Polsce niezwykle swojskiego chowu — i bynajmniej nie tak znów silnie rozwinięte. To, że czasem jakiś dziennik w braku innej wiadomości zajmie się statystyką handlu zagranicznego i zacznie biadać nad przywozem do Polski stu kwintali pomidorów, czy kilkuset beczek wina, nie oznacza jeszcze bynajmniej, aby w Polsce istniała jakować *ideologia autarkii.* Nie można też jej szukać w dobrze zrozumiałej tendencji słabego kapitałowego przemysłu polskiego do stworzenia sobie możliwie wysokiej bariery protekcyjnej. Ochrona produkcji rolnej podczas tak ciężkiego kryzysu, ale też i obecnie jeszcze, kiedy stosunki się nieco poprawiły, ma charakter utylitarny czysto i jest najzupełniej zrozumiała. Wszystko to razem bynajmniej nie świadczy o tem, jakoby światopogląd liberalny, panujący w opinii polskiej co do naszego stosunku gospodarczego do zagranicy, miał zanikać. I w ideologii autarkii — i, co ważniejsza, w samej autarkii bynajmniej nie idziemy bezkrytycznie za wieloma innymi. I słusznie: bo w gruncie rzeczy Polska jako organizm młody mogła by sobie dużo po współpracy kapitałowej zagranicy obiecywać. Droga poprzez import kapitałowy szybciej prowadzi do tworzenia rodzimego kapitału od każdej innej. Nie ma potrzeby dodawać, że ta współpraca z zagranicą musiała by odbywać się na zasadach absolutnej równości w stanowiskach obu kontrahentów.

Co innego jest jednak zasadnicze nastawienie się myślowe na ewentualność współpracy z zagranicą, a co innego stosowanie tych pobożnych życzeń do konstruowania linii polityki koniunkturalnej na naj-

bliższe okresy. Teoretycznie możnaby liczyć, iż stworzą się kiedyś warunki, które umożliwią taką współpracę w całej rozciągłości. Przy bliższem, praktycznem zapoznaniu się z rzeczywistością gospodarczą świata nadzieje te — nawet na dalekie okresy licząc — bledną, i w najlepszym razie zaczynamy liczyć na jakieś nowe „modus vivendi" pomiędzy światem późnego i wczesnego kapitalizmu, nie bardzo już przypominające przedwojenne wzory. A już, jeśli chodzi o okresy najbliższe, wskazany jest — naszem zdaniem — najwyższy sceptycyzm.

Rzecz w tem, że, chociaż bardzo by się nam chciało „rozładowania" międzynarodowej koniunktury gospodarczej, choć — słusznie — obiecujemy sobie po zmianie obecnego stanu rzeczy wiele dla nas dobrego, rzeczywistość przeczy chwilowo, niestety, wszelkim naszym nadziejom. Prasa codzienna z przyjemnością cytuje nieomal codziennie optymistyczne prognozy tej czy owej zagranicznej znakomitości, prognozy konstruowane ad usum wewnętrzno - politycznych posunięć, albo zgoła dla zrobienia „dobrej miny do złej gry". W ten sposób wytwarza się w Polsce powszechny pogląd, że — już, już, — a dopłyniemy do jakiejś wielkiej konferencji gospodarczej, gdzie sprawiedliwi ludzie dzielić będą złoto, surowce i — Bóg wie co jeszcze — pomiędzy spragnione i głodne narody. Wiele pism gospodarczych nieświadomie przyłącza się do wytwarzania tego nastroju, przedrukowując fachowe już opinie zachodnio - europejskich czy amerykańskich ekonomistów, którzy w obliczu faktów odgrywają rolę, jaka im istotnie się należy, — rolę nauczycieli i mentorów. Ale najsłuszniejsza nawet opinia tej czy innej sławy naukowej jakiegoś kraju, bynajmniej nie oznacza, aby w kraju tym *istotnie* opinia ta miała ugruntowaną większość, aby liczył się z nią rząd — i aby postępował po jej myśli. Zazwyczaj jest nawet wprost odwrotnie. I stąd — stały błąd w ocenie nastrojów zagranicą.

*

Gdyby chcieć sobie zdać sprawę w kilkunastu zdaniach, o co — mianowicie — chodzi w tej chwili w gospodarstwie światowem, jakie to są tendencje, które je nurtują, i ku czemu właściwie płyniemy na zmiennych falach koniunktury, byli byśmy w poważnym kłopocie. O skomplikowaniu i wzajemnem zazębieniu się międzynarodowych stosunków gospodarczych, po spustoszeniu dokonanym przez kryzys i w tak już poważnie nadszarpniętej wojną równowadze gospodarczej świata, zdać sobie może sprawę w całej rozciągłości tylko ten, kto dzień za dniem śledzi nieprzerwanie te właśnie przemiany. Dlatego też wszelkie syntezy międzynarodowej sytuacji gospodarczej muszą być siłą rzeczy niedokładne, niepełne — i dlatego niejednokrotnie zupełnie mylne. Aby uniknąć tego właśnie ostatniego niebezpieczeństwa, aby utrzymać się możliwie w ramach niespornych już na ogół stwierdzeń, postaramy się — nie siląc się na żadną pełną syntezę — podkreślić tylko niektóre momenty, zdaniem naszem, najbardziej charakterystyczne i decydujące o ogólnym kierunku światowej koniunktury.

Przede wszystkim — jedno stwierdzenie negatywne. Powiada się zazwyczaj dla uproszczenia sobie owego zawiłego kompleksu gospodarczych zagadnień świata, że właściwie punktem ciężkości „wszystkiego" są sprawy polityczne: niepokój wojenny, zawikłana sytuacja międzynarodowa, zbrojenia... Niewątpliwie: politicum w pewnej mierze oddziaływa zawsze na economicum (jak i vice versa). Niejednokrotnie oddziaływanie to staje się silniejsze niż zwykle. Ta sprawa wyglądała jeszcze przed półtora rokiem (kampania abisyńska, groźba konfliktu na morzu Śródziemnym). Był jeszcze pewien moment w tragedii hiszpańskiej, kiedy mogło się zdawać, że nastąpi wybuch. Od tego czasu przeszły już miesiące. Nikt właściwie już nie wierzy, aby konflikt hiszpański mógł wywołać zawieruchę. Co więcej — napięcie tego konfliktu, które jednak nie wywołało niczego, uprzytomniło wszystkim, iż żaden kraj właściwie w tej chwili wojny nie chce. Zbrojenia brytyjskie dokonały reszty. Żadne z państw „totalnych" czy „niezaspokojonych" nie może z nimi konkurować...

A więc w rezultacie, jakkolwiek niezdrowa atmosfera polityczna w pewnej mierze zawsze jeszcze ciąży na sytuacji gospodarczej, nie ona sama wytwarza ową sytuację, kiedy mimo wysokich wskaźników produkcji światowej, zwyżki dochodu społecznego w całym szeregu krajów, pewnego ożywienia nawet w handlu światowym itd. itd. nastroje wśród ekonomistów są raczej ponure. Mówiliśmy niedawno na tem miejscu o anarchicznym charakterze poprawy gospodarczej na kuli ziemskiej. Wskazywaliśmy na tendencje jej „zreglamentowania", aby uchronić ją od ponownego krachu. Wtedy chodziło nam o stwierdzenie odmiennego zgoła charakteru systemów gospodarczych XX-ego i XIX-ego wieku. Dziś pozwolimy sobie pójść nieco dalej i postawić pytanie: na czem właściwie polega ów anarchiczny charakter zwyżki koniunkturalnej i jakie są jego przyczyny?

Co do pierwszego pytania opinie są zgodne. Światu, a — dokładniej biorąc — możnym tego świata, których rozwój koniunkturalny decyduje o rozwoju gospodarstw mniejszych, grozi niebezpieczna inflacja. Techniczne przyczyny jej są również znane: manipulacje dewaluacyjne, wywołujące podrożenie złota i jego zwiększoną produkcję, przez co stworzony został sztucznie (i dość niespodziewanie dla wszystkich) szybki i ogromny przyrost siły nabywczej. Ceny mają, oczywiście, tendencję do przystosowywania się do takiej sytuacji. Pomimo wszelkich wysiłków w New Yorku i Londynie, aby ograniczyć rozmiary możliwej ekspansji kredytowej, wszelkie oznaki wskazują, iż niebezpieczeństwo się zbliża. Można — oczywista — mu zapobiec. Lekarstw doradza się wiele: rewaloryzacja zdewaluowanych uprzednio walut (potanienie złota), zerwanie z niską stopą procentową, „sterylizacja" złota w większym niż dotychczas rozmiarze itd. itd. Wszystkie te środki mają jeden wspólny cel: hamować koniunkturę. I dlatego — przewidujemy — będą niesłychanie trudne do wykonania.

I — niezwykłym napozór zbiegiem okoliczności — dochodzimy w naszem rozumowaniu z powrotem do punktu, z którego wyszedł każdy obserwator międzynarodowych stosunków gospodarczych, skoro zechciał sobie zdać sprawę z przyczyn, jakie pchnęły czołowe mocarstwa gospodarcze świata do wejścia na tak nie-

bezpieczną i śliską drogę manipulacji walutą. Nie po raz pierwszy zdarzyło się, że pieniądz jakiegoś kraju stracił część swej wartości liczonej w złocie. Bywały przecież tego rodzaju wypadki i w XIX wieku. Ale po raz pierwszy zdarzyło się, aby *jednocześnie* i to w okresie największego wstrząsu gospodarczego, jaki przeżywał kiedykolwiek świat, wypadki podobne sprowokowane zostały rozmyślnie w kilku głównych organizmach gospodarczych na kuli ziemskiej. Znane od dawna są przyczyny, jakie skłoniły rząd tych krajów do wejścia na tę właśnie drogę. Był to w pierwszym rzędzie wstręt, panujący w szerokich masach ich obywateli, do polityki przystosowania się do spadku cen, a więc do owej pogardzanej *deflacji*. Potępiona została ona gruntownie już od szeregu lat, jako ten kierunek polityki gospodarczej, który nie dał żadnych rezultatów w walce z kryzysem, chociaż — każdy objektywny obserwator to przyzna — nie mogła być ona nigdy zastosowana w krajach o ustrojach demokratyczno - parlamentarnych (a to są przecież owe czołowe pod względem gospodarczym kraje świata...), ani w odpowiedniej rozciągłości, ani przez odpowiednio wystarczający dla zakończenia procesów przystosowawczych przeciąg czasu. Polityka wewnętrzna zwyciężyła gospodarstwo międzynarodowe.

I otóż obecnie — wydaje się nam z obawą — powtarza się identycznie taż sama historia „od drugiej strony". Pod wpływem dewaluacji i ekspansji kredytowej koniunktura wzrosła anarchicznie i anormalnie. Trzeba ją przystosować, zahamować i wtłoczyć w odpowiednie łożyska, o ile chce się uniknąć olbrzymiej w rozmiarach inflacji i... odpowiednio olbrzymiego krachu po pewnym, ograniczonym zresztą, czasie. Przykład boom'u surowcowego jest aż zanadto wymowny. Ale tu występuje ten sam „vox populi", który stanął u źródeł dzisiaj przeżywanych zjawisk. Wsparty został w międzyczasie „doświadczeniami". Wywołał — istotnie wywołał — swą walką z deflacją ową upragnioną wysoką koniunkturę. Czy obecnie pozwoli ją zahamować, ograniczyć czy stonować w imię jakichś teoretycznych przesłanek, których nigdy nie zrozumie? Napewno nie. I dlatego z konieczności kierownicy gospodarstw, przodujących na kuli ziemskiej, starać się będą o obronę przed inflacją półśrodkami. „Sterylizuje się" złoto w New Yorku, kombinuje się w rozrachunkach pomiędzy funduszem walutowym i bankiem angielskim w Londynie. Ale coraz to bardziej przejawia się zapatrywanie, iż wszystko to — nie wystarczy...

*

że w tych warunkach tendencje ku znalezieniu jakiegoś wspólnego mianownika dla porozumienia gospodarczego pomiędzy narodami istnieją — to zrozumiałe. Ale, że porozumienie takie jest w obecnym stanie rzeczy bodaj jeszcze trudniejsze niż poprzednio — to jeszcze bardziej oczywiste. Porozumienie będzie musiało dojść do skutku tylko na podstawie ofiar doraźnych własnych możliwości rozwoju koniunktury. Jak w tym wypadku pogodzić je z tendencjami owego „vocis populi", który o żadnych ograniczeniach słyszeć nie chce?

I — dojść musimy tutaj do wysoce paradoksalnego na pozór wniosku — iż trudności w porozumieniu międzynarodowym na terenie gospodarczym leżą mniej nawet w rywalizacji *kapitału* niż w sui generis *rywalizacji pracy* w skali międzynarodowej. Wiemy, że, ani amerykański, ani angielski świat pracy *w gruncie rzeczy* sam nie zdaje sobie z tego sprawy. A przecież fakty niezbicie tego właśnie dowodzą.

...I stąd — wniosek dla polityki gospodarczej Polski na okresy najbliższe: nie wierzymy w szybkie uregulowanie się przeciwieństw w gospodarce międzynarodowej. Proces hamowania półśrodkami inflacji światowej wraz z jednoczesnem przystosowaniem się do biegunowo zmienionych warunków w gospodarce na kuli ziemskiej trwać będzie długo i przechodzić będzie jeszcze różne koleje. Hasłem naczelnem dla naszej polityki w tych warunkach powinno być utrzymanie i rozwój naszej koniunktury *chwilowo niezależnie* od fluktuacji koniunktury światowej. Możemy to zrobić o własnych siłach — i zabezpieczyć się w ten sposób na przyszłość. Gdyby nasze przewidywania okazały się zbyt pesymistyczne — tem lepiej: zawsze będzie czas na „włączenie się" do gospodarstwa światowego. Ale w obliczu tego, co widzimy w koniunkturze na szerokim świecie, specjalną ostrożność wydaje się szczególnie wskazana.

ANDRZEJ FALK

SZTUCZNA MGŁA

Rozproszenie sztucznej mgły, zasłaniającej prawdziwy stan rzeczy, jest pierwszym warunkiem właściwej polityki społecznej i gospodarczej.

Obchodami, rocznicami, zjazdami i deklaracjami pokrywa się w Polsce bardzo często pustkę ideową i beztreściwość materialną. Gładkość, z jaką toczą się okrągłe, milutkie frazesy o miłości Ojczyzny, pracy dla Państwa, potrzebie zespolenia wszystkich wysiłków etc., przyjmowana jest za dobrą monetę. Co więcej — czyni się powszechnie, co tylko można, aby głoszone hasła stały się „mangeables" dla wszystkich, aby pasowały na niedzielę i na dzień powszedni, aby każdemu dogodziły i aby niosły na cały świat, że w Polsce nie ma różnic klasowych, interesy wszelkich grup doskonale są sharmonizowane, a gdyby tak nie było, to... i tak dalej.

W okresie, kiedy szefem rządu jest człowiek, będący pełnym zaprzeczeniem frazesu i wiatrologii, frazes bez — czy ponadklasowości panoszy się wszechwładnie. Wszyscy jednakowo kochają Ojczyznę, wszyscy dla niej gotowi oddać ostatnią kroplę krwi i ostatnią złotówkę, wszyscy o niczem innem nie myślą, jak tylko o dobru wspólnym. W Polsce nie ma miejsca na interesy poszczególnych grup, w Polsce obowiązuje harmonia i pełny solidaryzm...

Obowiązuje również i — zakłamanie. Bo nieprawdą jest, jakoby w stosunkach społecznych i gospodarczych panowała sielankowa zgoda. Prawdą natomiast jest — i to zgoła naturalną — że nawet w sharmonizowanej Polsce sprzeczności interesów grupowych występują de facto dość ostro. I słusznie. Ale niesłusznym jest pogląd, szerzony urbi et orbi, że te sprzeczności nie istnieją lub istnieć nie powinny. Gorzej, gdy pozornie bez — czy ponadklasowa polityka państwa jest w gruncie rzeczy polityką klasową, faworyzującą interesy materialne jednej czy kilku określonych grup społecznych.

Najbardziej jaskrawym, ale zarazem najdalej w konsekwencjach idącym przykładem jednostronności naszej polityki społeczno — gospodarczej pod maską supremacji mitycznego „wspólnego dobra" jest zagadnienie wsi, zagadnienie chłopskie. Czyż należy przypominać, że ustawa o reformie rolnej, uchwalona w krytycznym dla niepodległości lipcu 1920 r., nie została zrealizowana tak, jak w rychłą niepamięć puszczono śluby Jana Kazimierza, składane w czasie „potopu"? Czyż trzeba podkreślać, że nasz stosunek do problemu ukraińskiego w Polsce zdaje się nawracać do epoki „królewiąt" kresowych, których wyraźne interesy gospodarcze przełożono ponad dobro interesów Rzeczypospolitej?...

Zagadnienie reformy rolnej pozostaje w dalszym ciągu zagadnieniem palącym, mimo, że dokoła nas rozwiązano je szybko i sprawnie, usuwając z pola widzenia trudności natury politycznej, socjalnej i gospodarczej. U nas opinia publiczna, ba! nawet opinia niektórych kół wojskowych zdecydowanie popiera „status quo" w układzie wiejskim, a już conajwyżej zgadza się na łagodne, ewolucyjne i bezbolesne przeprowadzenie reformy rolnej tak, jakby Polska żyła na izolowanej wyspie i długie jeszcze lata mogła trwać w spokojnym błogostanie. Jakgdyby nie trzeba było w zarodku paraliżować chwilowe ujemne skutki, jakie każda radykalna zmiana w istniejącym układzie stosunków pociągnąć za sobą musi.

Powiedzmy sobie wyraźnie: pogląd, jakoby reforma rolna była niebezpieczeństwem dla obrony kraju, w ogóle nie jest poglądem, lecz — mydleniem oczu. Obrona kraju staje się (choć tak być nie powinno) zasłoną dymową, dzięki której interesy klasy ziemiańskiej uzyskują pomoc i wzmocnienie. Bo interes obrony kraju jest co najmniej odwracalny: nie przeprowadzenie lub opóźnienie reformy rolnej grozi obronie kraju, która nie zawiera w sobie tylko czynnika aprowizacyjnego, konsekwencjami bez porównania głębszemi, aniżeli wtedy, kiedy reforma ta stanie się naprawdę ciałem. Jeżeli zaś istotnie grozi opadnięcie wolumenu produkcji i pogorszenie jej jakości, to chyba państwo, szczycące się swą ponadklasowością i służbą dobru ogólnemu, pośpieszy z wszystkimi dostępnymi mu środkami, aby i warsztat chłopski „podciągnąć wzwyż". Co prawda, nie pójdzie to zbyt łatwo, jeśli się zważy (a „Pamiętniki chłopów" to potwierdzą), że w dobie kryzysu Państwo zaniedbało należytej troski o poprawę wydajności ziemi ornej, chłopskiej w szczególności. Te dwadzieścia kilka milionów zł., jakimi państwo i samorządy dysponują na popieranie kutlury rolnej w kraju rolniczym i nb. chłopskim, świadczy nie tylko o rygorach budżetowych, ale również i o niechęci do realnego i pozytywnego przeprowadzenia reformy rolnej.

Mała wydajność gospodarki chłopskiej jest straszakiem w ręku ziemian i niektórych przedstawicieli wojska, aby udowodnić szkodliwość reformy agrarnej, a raczej — aby dążyć do utrzymania ziemiańskiego stanu posiadania. O tem, że ta mała wydajność pozostaje w logicznym związku z pańszczyzną, zdają się zapominać ci, którzy przestrzegają przed naruszeniem ziemiańskiego „tabu". Przyczyna, pomstująca na własny skutek, robiłaby wrażenie poniekąd i wesołe, gdyby sens tego wszystkiego nie był dość smutny [1]).

---

[1]) Gospodarka spółdzielni rolniczo - handlowych, w których ziemianie wiedli rej jako... kredytobiorcy. ma udowodnić nieudolność chłopów do prowadzenia tego rodzaju organizacji, zamiast wskazać na ziemian, jako na istotnych winowajców złego stanu tych spółdzielni.

Reforma rolna, potraktowana w Polsce pod kątem klasowym, wiąże się ściśle z problemem oddłużenia. W ciężkim pod każdym względem okresie 1932 — 1934 r. akcja, przeprowadzona przez państwo, szła wyraźnie na rękę interesom klasowym jednej grupy — i to wbrew interesowi wspólnego dobra. Ustawy konwersyjne premiowały niezaradnych czy źle gospodarujących ziemian, ratowały bankrutów, utrzymywały na powierzchni ludzi nieodpowiednich. Pod płaszczykiem zasady, że ziemia nie powinna być traktowana na równi z towarem, który można za długi przejąć i oddać w ręce najwięcej dającemu, przemycono ziemniański „status quo" i utrącono reformę rolną. W XX w. zagrała ta sama melodia, jaką słyszeliśmy w stuleciu poprzednim: ziemianie, którzy łatwo tracili swe folwarki na rzecz wierzycieli (głównie żydów, zwłaszcza w Małopolsce), nie mogli sobie wyobrazić, że mogą one przejść w ręce chłopów. Straszak „wierzycielski" (niekiedy — żydowski) wystarczył, aby ustawodawstwo oddłużeniowe stało się bronią do walki ze zmianą struktury posiadania i do obrony interesów klasy ziemiańskiej. Patronowało temu państwo, głoszące przyjemnie brzmiące poglądy o interwencjonizmie, usunięciu zasad gospodarki liberalnej etc.

Jednostronnie klasowy — wbrew tysiącznym deklaracjom i pozorom — stosunek do reformy rolnej i podniesienia gospodarczego wsi [2]) nie wyczerpuje przykładów polityki, którą by można nazwać polityką zakłamania [3]). Czyż inaczej ustosunkowano się do kwestii robotniczej? Czy w Polsce troska o klasę robotniczą dorównywuje trosce sąsiednich Niemiec, które wszakże program socjalny zawiesiły właściwie na kółku?

Nie jesteśmy krajem demokratycznym, lecz autokratycznym. Nie chodzi mi zresztą o zdobycze polityczne, lecz o możliwości awansu społecznego. Jakie one są? żadne, a w każdym razie minimalne. Robotnik pozostanie przez całe swoje życie robotnikiem, spełniającym to co mu każą, bez próby oddziaływania na tok i kierunek procesów produkcyjnych. Obiecuje mu się nowość: rozjemstwo w zatargach zbiorowych, jakgdyby większość strejków nie była przezeń wygrana. Jeśli to także nie jest dowodem jednostronnie klasowego nastawienia naszej polityki społeczno - gospodarczej czy naszej opinii publicznej, to wszystko, co było przedtem powiedziane, nie ma żadnego sensu i racji.

A polityka walutowa i kredytowa, której hołdujemy od dłuższego czasu? Przecież i tutaj można bez trudu wykryć wpływ jednostronnej gry interesów, bądź wielkich banków, bądź posiadaczy kont oszczędnościowych, posiadaczy, rekrutujących się przeważnie z ludzi, którzy swe dochody otrzymują regularnie na pierwszego każdego miesiąca. Czy pomyślano kiedykolwiek o pełnym „rozładowaniu" bezrobocia, o dopuszczeniu producenta wiejskiego do głosu, o potrzebach drobnego przemysłu i handlu, kiedy układano wytyczne polityki walutowej i kredytowej? Obawiam się, że interesów tych grup społecznych nie wzięto zupełnie w rachubę.

Polską rządzi i na poglądy opinii publicznej wpływa klasa, która nie zawsze zdaje sobie sprawę z klasowego i egoistycznego nastawienia swej polityki. Inteligencja biurokratyczna, czy biurokracja inteligencji kieruje państwem od jego zarania, a mimo to powołuje się wyłącznie na ogólne dobro narodu lub państwa. Inteligencja daje się łatwo wziąć na lep frazesu i demagogii okrągłego słówka. Nie lubi ona słuchać o potrzebach, interesach i żądaniach klas czy grup społecznych. Czując się ponadklasową (co nie odpowiada w rzeczywistości prawdzie), narzuca tę ponadklasowość każdemu i wszystkim. Związana jednak więzami krwi i ziemiaństwem, zahypnotyzowana potęgą wielkiego kapitału i przeszkolona w wojsku, które różnic klasowych w zasadzie nie uznaje, inteligencja prowadzi politykę popierania ziemiaństwa i wielkiego przemysłu. Ponadto piecze przy ogniu także i swoją własną pieczeń: interesy biurokracji chronione są zapobiegliwie i starannie. Liczby bezwzględne i stosunkowe młodzieży szkół średnich i wyższych, pochodzącej ze sfer ziemiańskich oraz urzędniczych i wojskowych, wystarczą za szereg podobnych przykładów. Przykładów tego, jak w Polsce wyglądają szanse awansu społecznego i jak w rzeczywistości dobro pospolite czyli wspólne, piastowane jest rękami — wybranych.

że istnieją różnice i konflikty klasowe — w porządku. że Polską rządzi aktualnie inteligencja, jako klasa biurokracji sensu largo — zrozumiałe. że ziemianie bronią się przed reformą rolną, a przemysłowcy — przed awansem i znaczeniem robotnika czy drobnego przedsiębiorcy — naturalne. Ale nie jest zdrowym zjawisko, nagminnie panujące w Polsce, budowania parawanów, na których słowa: Ojczyzna, Rzeczpospolita, dobro narodu, obrona kraju, solidaryzm etc., aż gęstnieją i tłoczą się niepomiernie po to, aby za ich plecami (w Polsce najważniejsza część ciała) mogły działać interesy i interesiki klas, grup i grupek.

Państwo nie powinno dopuszczać do takich konfliktów klasowych, które by groziły rozsadzeniem całości. Ma ono nawet obowiązek hamować wybujałości interesów pojedyńczych klas. Ale nie może ono i nie powinno wprowadzać w błąd, dowodząc, że jest ponadklasowe, kiedy fakty mówią zupełnie co innego.

---

[2]) Dla braku miejsca nie poruszam tutaj folwarcznego, a nie chłopskiego, nastawienia przez szereg lat polityki rolnej, która akcentowała głównie folwarczną produkcję zbożową, zapominając o chłopskiej hodowlanej.

[3]) Reakcja lokalnej administracji na strejki rolne w Małopolsce środkowej (1936 r.) świadczy nawet, że administracja ta z góry przyznawała rację wszystkim, tylko nie chłopom.

HENRYK PNIEWSKI

INWESTYCJE INTELEKTUALNE

Zagadnienia, dotyczące inwestycji intelektualnych można formułować i rozwiązywać przy pomocy tych samych pojęć, co problemy inwestycji rzeczowych. Polityka inwestycji intelektualnych jest równie niezbędna, jak polityka inwestycji rzeczowych.

Sprawę inwestycji intelektualnych omawiał już w swoim czasie na łamach „Gospodarki Narodowej" p. Czesław Bobrowski [1]), temat ten jednak wymaga, jak się zdaje, jeszcze nie jednego obszernego omówienia. Jeszcze przed wspomnianym artykułem p. Henryk Greniewski zwracał uwagę na pewne, znane zresztą oddawna, analogie między kapitałem rzeczowym, a osobowym [2]). Korzystając z tych analogii p. Greniewski zastosował „przeniesienie" pewnych pojęć z dziedziny kapitałów osobowych do dziedziny kapitałów rzeczowych, otrzymując w ten sposób pewne koncepcje amortyzacji rzeczowych urządzeń inwestycyjnych. Chcielibyśmy tutaj zastosować tę samą metodę, co p. Greniewski, lecz w przeciwnym kierunku, chcielibyśmy mianowicie dokonać pewnego „przeniesienia" z dziedziny inwestcji rzeczowych do dziedziny inwestycji intelektualnych.

Teorie inwestycji rzeczowych dysponują obecnie znaczną ilością pojęć dość precyzyjnie skonstruowanych (rentowność bezpośrednia i pośrednia, rentowność natychmiastowa i odroczona, demodernizacja i modernizacja, amortyzacja i remont, harmonizacja urządzeń inwestycyjnych, planowość i spontaniczność inwestowania itd.). Otóż wydaje się rzeczą ciekawą zastosowanie tych pojęć w dziedzinie inwestycji intelektualnych. Takie ujęcie ekonomiczne zagadnień, dotyczących rozwoju nauki, kształcenia, dokształcania, przeszkolenia i samokształcenia mogło by dać dość interesujące rezultaty. Inna sprawa, że stawiamy tu zadanie, przekraczające mocno ciasne ramy zwięzłego artykułu.

Wśród inwestycji intelektualnych znajdujemy bez trudności przykłady rentowności pośredniej i odroczonej. Najlepszym bodaj przykładem będą zdobycze nauki czystej („czystej" w przeciwstawieniu do „stosowanej"). żyjemy w okresie, w którym zaczęto doceniać i podkreślać doniosłość inwestycji rzeczowych, stanowiących podstawę procesów gospodarczych pośrednio rentownych. Mamy tu do czynienia z objawem niewątpliwie dodatnim. Należało by tylko w związku z tem podkreślić jeszcze olbrzymią rolę (zwłaszcza w ostatnim stuleciu) w rozwoju gospodarstwa światowego, dwu grup inwestycji intelektualnych, tylko zresztą pośrednio rentownych, grup zwanych zwykle „zdobyczami fizyki" i „zdobyczami chemii". Rezultaty badań naukowych „czystych" są inwestycjami o rentowności nie tylko pośredniej, ale i w dodatku odroczonej (karencyjnej), gdyż między uzyskaniem danego rezultatu w dziedzinie nauk czystych, a znalezieniem zastosowań praktycznych tego rezultatu biegnie zwykle pewien odstęp czasu. Należy jednak zauważyć, że długość tego odstępu czasu ma, jak się zdaje, t r e n d malejący. Jeżeli szczegółowe badania w zakresie historii nauki potwierdziły by ostatnią tezę, należało by wyciągnąć z niej wnioski natury praktycznej.

W dziedzinie inwestycji rzeczowych doniosłą rolę odgrywają pojęcie harmonizacji zespołu urządzeń inwestowanych. Procesy wytwórcze np. składają się z reguły z szeregu ogniw kolejnych, z których każde wymaga odrębnego urządzenia inwestycyjnego (np. odrębnej maszyny). Jeżeli w dobrze sharmonizowanym zespole rzeczowych urządzeń inwestycyjnych zmodernizujemy tylko jedno z ogniw i w ten sposób powiększymy jego wydajność, to nie uzyskamy, jak powszechnie wiadomo, żadnego dodatniego efektu, gdyż przed następnem ogniwem (już nie zmodernizowanym) wytworzy się zator. Mamy tu do czynienia z prawdą elementarną i powszechnie znaną, a jednak nie stosowaną w dziedzinie inwestycji intelektualnych. Szybki postęp nauki czystej, a nawet szybkość znajdywania zastosowań praktycznych dla poszczególnych osiągnięć nauki czystej nie da należytych rezultatów gospodarczych, o ile ośrodki dyspozycji gospodarczej w danym kraju będą nastawione konserwatywnie. Od czynników kierujących produkcją i wymianą wymagać trzeba nastawienia na ustawiczny postęp, zdolność krytycznej oceny stosowanych dotychczas metod pracy.

Aby zakończyć nasze szkicowe uwagi o rezultatach nauki czystej, traktowanych jako pewnego rodzaju inwestycje, należało by poświęcić chociaż kilka słów sprawie finansowania inwestycji tego typu. Ponieważ mamy w omawianym wypadku do czynienia z inwestycjami o rentowności karencyjnej i to dość silnie karencyjnej (okres karencji, mimo *trendu* malejącego, o którym wyżej wspominaliśmy, wynosi obecnie w każdym razie dużo lat), więc jedynie dostatecznie trwały w czasie podmiot gospodarujący może być zainteresowany w inwestowaniu omawianego typu. Wchodzą więc tu w grę w charakterze inwestorów tylko niemal zbiorowe podmioty gospodarujące (w przeciwstawieniu do jednostkowych podmiotów gospodarujących) [3]). Dlaszy bardziej precyzyjny wybór inwestora staje się możliwy przez przeprowadzenie rozważań, dotyczących ryzyk, związanych nieuchronnie z inwestowaniem w dziedzinie nauki czystej. Gdy rozpoczynamy badanie naukowe, nie wiemy nigdy, czy doprowadzi ono do rezultatu

[1]) Czesław Bobrowski „Inwestycje intelektualne", Gosp. Narod. Nr. 24, 15 grudnia 1936 r.

[2]) Henryk Greniewski „Amortyzacja urządzeń inwestycyjnych", Gosp. Nar. Nr. 21, 1 listopada 1936 r.

[3]) Henryk Pniewski „Ekonomia jednostki ekonomia zbiorowości". Gosp. Nar. Nr. II, 1 czerwca 1937 r.

stosowalnego praktycznie w tej, czy innej dziedzinie działalności praktycznej i kiedy doprowadzi ono do takiego rezultatu (okres karencyjny nie jest z góry wiadomy). Te dwa ryzyka należy wziąć pod uwagę. Koncern hutniczy nie powinien samodzielnie prowadzić we własnym zakresie (np. we własnych laboratoriach) badań w zakresie fizyki *czystej*, bo choćby nawet wszystkie rezultaty tych badań naukowych stały się w dostatecznie krótkim (z punktu widzenia tego koncernu) czasie stosowalne praktycznie, to nie wiadomo przecież z góry czy hutnictwo będzie polem tych zastosowań wyłącznie, lub nawet w dostatecznej większości wypadków? Ponieważ okres karencyjny nie jest z góry dany, więc nawet bardzo trwałe podmioty gospodarujące mogą wysuwać wątpliwości, czy popieranie rozwoju nauki *czystej* (co innego, gdy chodzi o naukę *stosowaną)* stanowi dla nich dostatecznie mało ryzykowny interes. Minimum obu ryzyk osiągamy niewątpliwie wtedy, gdy inwestorem w dziedzinie nauki czystej jest podmiot o najbardziej wszechstronnych zainteresowaniach gospodarczych i posiadający maksymalną trwałość. Podmiotem tym jest państwo.

Rezultat, do któregośmy doszli, wydaje się zupełnie na pierwszy rzut oka banalny. Przecież corocznie do budżetu państwowego wstawia się pewne kwoty na cele naukowe. O co więc chodzi? Odpowiedź jest prosta: Chodzi o to, że te pozycje budżetowe mają charakter podstawowy i inwestycyjny, a nie zbytkowo - konsumcyjny (jak np. wydatki na cele reprezentacyjne), a następnie, że właśnie w budżecie państwa, a nie w innych budżetach, musi być miejsce na te wydatki, gdyż w ten sposób tylko osiąga się minimum poziomu ryzyk z omawianym inwestowaniem związanych.

Nie będziemy tuż już omawiać strony organizacyjnej inwestowania w dziedzinie nauki czystej, czy nawet stosowanej. Ograniczymy się tylko (dla uniknięcia nieporozumień, do których łatwo mogły by doprowadzić uwagi poprzednie) do przypomnienia banalnej zgoła, a tak często zapominanej prawdy, że państwo to nie tylko rząd i administracja rządowa. Podkreślając doniosłość pozycji wydatków na cele naukowe w budżecie państwowym byliśmy zupełnie dalecy od chęci podporządkowywania badań naukowych administracji rządowej, czy nawet rządowi.

Inwestycjami intelektualnymi są nie tylko osiągnięcia naukowe, ale i zespoły wiadomości zawodowych, pewne umiejętności nabyte przez poszczególnych ludzi i zespoły ludzkie. Warto zwrócić uwagę na procesy powstawania tych kapitałów osobowych. Jesteśmy przyzwyczajeni do pewnego typu formowania tych kapitałów osobowych: jednostka otrzymuje w okresie dziecięcym i młodzieńczym pewien zasób wiadomości, mniej lub więcej racjonalnie dozowanych, po tem staje się człowiekiem „dojrzałym" — proces inwestowania intelektualnego jest ukończony, gotowe „urządzenie inwestycyjne" ma teraz funkcjonować rentownie. Taki proces inwestycyjny jest kosztowny, a rezultaty jego są często mizerne, gdyż:

1) jest to proces inwestowania na daleką metę, a więc ryzyko dokonania inwestycji chybionej jest znaczne,
2) przekonanie jednostki, że jej wykształcenie jest już skończone, utrudnia systematyczne i niezbędne w nowoczesnem gospodarstwie nieustanne niemal modernizowanie już „ukończonej" inwestycji.

Z punktu widzenia ogólno - gospodarczego wydaje się bardziej celowe stosowanie metody inwestowania intelektualnego zgoła odmiennej od metody „klasycznej", którą scharakteryzowaliśmy wyżej w sposób zwięzły, lecz nieco (przyznajemy to chętnie) karykaturalny. Należało by do możliwego minimum skrócić okres nauczania podstawowego, a następnie wprowadzić choćby faktyczny przymus systematycznego i doraźnego dokształcania, zwłaszcza zawodowego, trwającego przez cały niemal okres produktywny życia ludzkiego. W ten sposób inwestowałoby się na krótszą metę, ryzyko błędów inwestycyjnych było by poważnie zredukowane, systematyczna modernizacja wiedzy zawodowej była by w dużym stopniu ułatwiona.

Wybór miejsca dla danego rzeczowego urządzenia inwestycyjnego jest zadaniem, jak wiadomo, pierwszorzędnej wagi, zwłaszcza wtedy, gdy chodzi o inwestycje szczególnie kosztowne. Nikt rozsądny nie będzie lekceważył problemu wyboru terenu, na którym ma być zbudowana huta, ustalenia trasy projektowanego połączenia kolejowego, wyboru punktu na brzegu morskim, przy którym ma być budowany nowy port. Wysokie kwalifikacje zawodowe są szczególnie kosztownymi inwestycjami intelektualnymi, i wybór ludzi, którzy mają stanowić „podłoże" tych inwestycji jest problemem dużej wagi. Rozwój protekcjonizmu i nepotyzmu w polityce osobowej (nie trzeba bardzo ostrego wzroku, aby te objawy wyraźnie spostrzegać), minimalne szanse awansu społecznego są to objawy błędnej lokalizacji inwestowania intelektualnego. Te rzeczy prędzej czy później (kładziemy zresztą większy nacisk w tym wypadku na wykaz „prędzej" niż na ‚pożniej") zaciążą na poziomie naszego dochodu społecznego.

Nauka o koniunkturze dała podstawę dla wskazań koniunkturalnych w zakresie inwestowania rzeczowego. Należało by się zastanowić nd zagadnieniem sformułowania takich wskazań, odnośnie inwestowania intelektualnego. Wydaje się przy tem wątpliwe, czy fazy optymalnego inwestowania rzeczowego pokrywać się będą z fazami optymalnego inwestowania intelektualnego. Należało by się zastanowić, czy (mimo wielkich trudności, jakie zagadnienie nasuwa), nie było by możliwe planowe dokształcenie i przeszkolenie bezrobotnych jeszcze „w przeddzień" spodziewanej poprawy ogólnej koniunktury gospodarczej, aby złagodzić w czasie poprawy sytuację, polegającą na tem, że wraz z nadmiarem bezrobotnych występuje silny brak fachowców.

Nie poruszaliśmy dotychczas wcale zagadnienia amortyzacji inwestycji intelektualnych. Zagadnienie to jest bardziej skomplikowane, niż wtedy, gdy chodzi o umarzanie urządzeń rzeczowych. Wprawdzie między obu dziedzinami zachodzi głęboka analogia,

którą w swoim czasie uwydatnił p. Greniewski w cytowanym już artykule, nie mniej zachodzi również i pewna zasadnicza różnica przynajmniej wtedy, gdy chodzi o, że się tak wyrazimy, czysto osobowe inwestycje intelektualne, to jest o umiejętności konkretnych osób. Inwestycja czysto osobowa traci stopniowo lub nagle na wartości wskutek przyczyn fizjologicznych, postępu nauki itd. Ubytek wartości jest tu dwojaki:

a) dla posiadacza danej umiejętności

b) dla otoczenia korzystającego z tej umiejętności.

Ubytek w zakresie a) może być skompensowany przez kwoty pieniężne (renta, odprawa), jest to dziedzina zastosowań różnego rodzaju urządzeń zabezpieczenia i w szczególności ubezpieczenia osobowego (indywidualnego i społecznego). Ubytek wartości w zakresie b) musi być na ogół skompensowany przez inwestycję, która jednak może, a nawet zwykle powinna różnić się od inwestycji „obumierającej", czy „zmarłej". Nieraz przy tem zdarza się, że powstaje potrzeba zastąpienia inwestycji intelektualnej, inwestycją rzeczową (mechanizacja danego działu pracy).

U W A G I

„PODATEK POZORNY"

Jednocześnie z odrzuceniem przez parlament wniosków o podniesienie niektórych dochodów miast, zapowiedzianą została mała reforma finansów samorządowych. Sądzimy, iż w międzyczasie rolą i zadaniem publicystyki gospodarczej jest stałe wentylowanie tego problemu, a to dla dwojakiego celu: 1) aby się nie *zdeaktualizował*, co snadnie mogłoby nastąpić przy automatycznej poprawie dochodów samorządów i jakiemś — „gospodarskim sposobem" przeprowadzonem — ich dostosowaniem się do warunków obecnych; oznaczałoby to odroczenie dobrego rozwiązania ważnego problemu do momentu, gdy będzie on szczególnie palący i szczególnie trudny do dobrego rozwiązania; 2) aby dostarczyć możliwie licznych elementów do niedalekich rozważań i decyzyj.

Pod tym kątem widzenia patrząc na zagadnienie, pragniemy zwrócić uwagę na pewne swoiste cechy dochodów i wydatków samorządowych, mniej wyraźnie występujące w gospodarce innych ciał publicznych.

Istnieje teza, iż nie należy obecnie zwiększać obciążeń podatkowych przedsiębiorczości prywatnej. Motywuje ją się — mówiąc jezykiem ulicy — tem, że trzeba przedsiębiorstwom „dać się odkuć". Niechże swe rosnące dochody zatrzymają we własnej dyspozycji i zużyją na własne swe cele, podreperują się i rozwiną. Nie obciążajmy konia nowemi ciężarami, dajmy mu się wzmocnić na siłach a dopiero wówczas — gdy zajdzie potrzeba — będzie mu można dorzucić ciężarów, bo wówczas będzie je mógł bez zbytniego wysiłku pociągnąć.

Wedle tej tezy należy więc unikać zarządzeń, w wyniku których pieniądze wygospodarowane przez przedsiębiorstwo byłyby wydatkowane na cele niezwiązane z interesami tego przedsiębiorstwa, lub związane tylko pośrednio. Stuzłotówka leżąca w kasie przedsiębiorstwa mogłaby być użyta np. na wyszkolenie zawodowców, w fachu temu przedsiębiorstwu potrzebnych, co byłoby dobre, ale lepiej będzie zużyć ją np. na zakup nowych narzędzi. Obrazowo, ale z dostatecznie dużą ścisłością można powiedzieć, iż chodzi tu o nie rozszerzanie przestrzennego zasięgu gospodarowania dochodami przedsiębiorstw, o zaspakajanie ich potrzeb *wewnętrznych*, bezpośrednio poprawiających warunki pracy i rentowności tych przedsiębiorstw.

Ale czem jest pojedyńcze przedsiębiorstwo, jakie ono posiada granice w rozumowaniu powyższem? Podkreślamy, że chodzi o odpowiedź ustaloną nie z prawnego, a gospodarczego punktu widzenia. I tu zauważymy, że skoro nie może nasuwać zastrzeżeń, w przedsiębiorstwie parowydziałowem, użycie dochodów jednego z wydziałów na ulepszenie pracy innego wydziału — to nie może też nasuwać merytorycznych zastrzeżeń użycie dochodów przedsiębiorstwa na takie nowe urządzenia publiczne, które zupełnie bezpośrednio pracują dla tego właśnie przedsiębiorstwa i jego właśnie rentowność zwiększają. Niektóre urządzenia publiczne posiadają takie cechy, przeto obciążanie przedsiębiorstw celem wykonania tych urządzeń, w gruncie rzeczy, mimo pozornej sprzeczności, nie jest sprzeczne z tezą, iż nie należy zwiększać obciążeń przedsiębiorczości indywidualnej na rzecz ciał publicznych.

Rozumimy dobrze, że problem jest delikatny. Przy praktycznem stosowaniu tego rodzaju zasad bardzo łatwą jest nadmierna elastyczność kryteriów, gdyż przecie, w ostatecznym rozrachunku, większość publicznych wydatków gospodarczych poprawia warunki pracy pojedyńczych przedsiębiorstw. Dlatego właśnie sądzimy, że zasady wyżej wyłuszczone mogą mieć zastosowanie do gospodarki samorządów terytorialnych, a nie ciał publicznych, obejmujących swem działaniem duży obszar, zawierający przedsiębiorstwa i inne urządzenia gospodarcze bardziej luźno związane ze sobą, niż to zachodzi w granicach jednej gminy.

To, że problem jest delikatny i trudny, bynajmniej nie przemawia jeszcze za tem, iż trzeba zrezygnować z jego rozwikłania. Stosowane tu już są metody doskonałe, nie mające nawet zewnętrznych cech podatku, jak np. w Warszawie umowy gminy z obywatelami o darmowe odstąpienie terenów pod urządzenie ulic, lub podobne umowy dotyczące budowy nowych odgałęzień sieci kanalizacyjnej i wodociągowej. Wypadki te wskazują wyraźniej niż wszelkie rozumowanie, iż niektóre inwestycje samorządowe są

wprost inwestycjami indywidualnych przedsiębiorstw i mogą być uruchomione w drodze umowy prywatno - prawnej między gminą a przedsiębiorcą. Na granicy między umową prywatno - prawną a podatkiem stoją t. zw. opłaty od adjacentów, gdzie efektywne koszty urządzenia ulicy mogą być przerzucone na właścicieli przyległych nieruchomości, przymusowo i wedle przepisem prawnym ustalonego klucza. Jest rzeczą charakterystyczną, że te obydwa typy finansowania urządzeń samorządowych przez jednostki prywatne — nie nasuwają nikomu żadnych zastrzeżeń i nie są atakowane; znaczy więc, że w mniemaniu powszechnem nie zachodzi tu sprzeczność z tezą, iż nie trzeba zwiększać obciążeń na rzecz urządzeń publicznych. Stanowi to praktyczne potwierdzenie słuszności poglądu przez nas wysuniętego, a jednocześnie nasuwa supozycję, że niekiedy słowo *podatek* działa sugestywnie, zaciemnia właściwą treść zjawiska i prowadzi do niewłaściwych wniosków.

W umowach prywatno - prawnych o odstąpienie gruntu czy też w opłatach od adjacentów rzeczą ważną i charakterystyczną jest ścisłe *zlokalizowanie* stosunku między gminą i jednostką, zlokalizowanie w najbardziej dosłownem, przestrzennem słowa rozumieniu. Stwarza to pewną przejrzystość stosunku, która nie zawsze może być zastosowana i zresztą nasuwa czasem poważne wątpliwości (czemu fabryka, intensywnie użytkująca nową ulicę, ale nie przylegająca do niej swym placem — ma nie być adjacentem i ma nie ponosić kosztów urządzenia?). W wypadkach mało przejrzystych sugestywne działanie słowa „podatek" zasługuje na rozwianie, tak, aby wystąpiła na jaw właściwa treść gospodarcza zjawiska.

O ile spojrzelibyśmy na niektóre jednostki gospodarujące, mieszczące się np. w granicach Warszawy, zauważylibyśmy — abstrahując zupełnie od prawnego punktu widzenia — że stanowią one właściwie jedną, ściśle zespoloną całość z urządzeniami publicznemi miasta. Typowym przykładem jest przedsiębiorstwo przewozowe, które składa się z wozów — i bruków ulicznych. Na rentowność tego przedsiębiorstwa w równej mierze wpływa ulepszenie wozów, jak ulepszenie bruków. Podobnie przedsiębiorstwo „plac budowlany" składa się z samego placu i otaczającego go systemu ulic, plantacji, szkół, autobusów itp. Liczne inwestycje gminy są najzupełniej jednoznaczne — w swym sensie gospodarczym — z inwestycjami w pojedyńczym przedsiębiorstwie, a zatem pociągnięcie obywateli do udziału w sfinansowaniu tych inwestycyj właściwie nie powinno być uważane za dodatkowe obciążanie ich na rzecz ciał publicznych.

Nie mamy na celu formułowania konkretnych i ścisłych propozycji co do nowych „obciążeń" na rzecz samorządów, jakie wedle obserwacji powyższych mogą być zastosowane, bez naruszenia tezy, iż nie należy zwiększać obciążenia jednostek na cele publiczne. Ograniczymy się do stwierdzenia, że *mogą* istnieć pozorne obciążenia, będące w rzeczywistości sfinansowaniem inwestycji prywatnej, lecz zadysponowanej i wykonanej przez gminę. Aby określić wypadki, w których te pozorne obciążenia zachodzą, trzeba uwzględnić z jednej strony związki między działalnością płatnika i urządzeniami gminnemi, a z drugiej strony cele, na które gmina uzyskane środki przeznaczy. Dla fragmentarycznego zorientowania co do ilościowych cech problemu zacytujemy, że — według obliczeń publikowanych niedawno — oszczędności na kosztach już obecnie wykonywanego przewozu, dające się osiągnąć w razie ulepszenia jezdni ulic warszawskich, wynoszą około 3 mil. zł. rocznie.

st. rz.

KREOWANIE KREDYTU

W bieżącym numerze „Ruchu Prawniczego, Ekonomicznego i Socjologicznego" ukazała się rozprawa prof. F. Młynarskiego p. t. „Teoria wkładów czekowych", w której autor przeciwstawił się koncepcji Hayek'a i innych w sprawie tzw. kreowania kredytów.

Rozumowanie Heyek'a jest w skróceniu następujące: Bank A otrzymuje wkład przez rzeczywistą wpłatę gotówki, na której to podstawie udziela kredytu zazwyczaj w wysokości $^9/_{10}$ otrzymanego wkładu. Fabrykant, który powyższy kredyt uzyskał przeznacza go np. na zakup surowców wypłacając dostawcy należność czekiem. Czek ten zostaje przez dostawcę przekazany celem realizacji do banku B, który może go traktować jako dopływ rzeczywistej gotówki i na tej podstawie udzielić z kolei nowego kredytu o $^1/_{10}$ niższego od sumy czeku. Jeżeli kredyt ten będzie wykorzystany podobnie jak kredyt banku A, to jakiś bank C uzyska dopływ wkładów czekowych, zwiększy odpowiednio (tj. w $^9/_{10}$) kredyty, poczem w dalszych bankach D, E, F.. N operacja będzie się powtarzać, dopóki suma pierwotnego wkładu w banku A i pierwotnego kredytu przez ten bank udzielonego nie zmaleje poprzez ciągłą redukcję o $1/_9$ otrzymywanych kolejno wkładów — do wielkości praktycznie niewpływającej na zdolność kredytową ostatniego banku N. Powstaje zatem tzw. piramida wkładów i kredytów, której podstawę stanowią operacje banku A, jako „najszersze" ilościowo, zaś wierzchołek znajduje się w banku N. Jest oczywiście bez znaczenia dla powyższego biegu rozumowania fakt, że bank N mógłby być materialnie, a nie numeracyjnie, bankiem A, B lub C. „Banki mają" zatem „udzielać kredytu w wysokości kilka razy większej od sumy początkowo zdeponowanej" w jednym z nich i uruchomionej w postaci początkowego kredytu.

Pomijamy pomniejsze zastrzeżenia, jakie prof. Młynarski wnosi przeciwko teorii kreowania kredytów i przeciwko szkole „pieniądza bankowego", uważając bądź że są one oczywiste, bądź że ekonomicznie raczej bez znaczenia, bądź że logiczne rozważania autora oparte są na suponowaniu określonej (choć nie jedynej z możliwych) treści wyrazów użytych przez przedstawicieli szkoły pieniądza bankowego. Ale oto, co mówi prof. Młynarski w meritum sprawy:

„...rozsypuje się legenda o mocy tworzenia wkładów" przez banki. Nie banki tworzą wkłady właściwe, będące źródłem pożyczek, ale *obrót gospodarczy przez ciągłą wymianę dóbr i usług*. Nie ma również sensu przypuszczenie, że wkłady wędrują z banku do banku tworząc się przez udzielanie kredytu, ponieważ wędrówkę taką odbywa tylko gotówka lub inny

składnik z masy aktywów", a dalej „...Rozwiązujemy „zagadkę kredytu bankowego" przez sprowadzenie jej do rzeczy prostej, bezspornej. Jest nią zjawisko szczególnie wydatnego przyśpieszenia obiegu pieniądza przez nowoczesną organizację bankową".

Ponieważ wkład jest conditio sine qua non kredytu przeto możemy pominąć przesuwanie rozważań z kredytu na wkłady i odwrotnie.

Prof. Młynarski sprowadza jednak rozważania do zagadnienia przyczynowego stosunku kredytu (wkładu) i obiegu dóbr (pierwsza część cytaty), co uniemożliwia uzyskanie jakiejkolwiek odpowiedzi bez założeń metafizycznych. Praktycznie jest bowiem zrozumiałe, że zarówno możność dysponowania kredytem pobudza czyli stwarza obieg, jak obieg gospodarczy wywołuje zwiększoną możliwość kredytowania. Wszystko zależy od przewagi tych lub innych elementów w określonych tranzakcjach i okresach koniunktury. Dlatego też w twierdzeniu szkoły pieniądza bankowego, że „kredyt tworzy nowe wkłady i kredyty" chcemy widzieć nie związek przyczynowy, ale zależność typu logicznego, określoną jako implikacja, co zapewne odpowiadać może tokowi myśli prof. Młynarskiego, gdyż w swej rozprawie często powołuje się na argumenty natury logicznej.

Otóż jest oczywistością, że udzielony kredyt implikuje nowy wkład, i to niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z jednym czy z wieloma bankami. Implikuje zaś dlatego, że siła nabywcza określona kredytem *musi* zostać zaksięgowana w jakimkolwiek z banków, a zaksięgowana być może jedynie jako odpowiednik zwiększonej zdolności kredytowej banku, który ją zaksięguje. Czy w dalszym ciągu ta zwiększona zdolność kredytowa będzie wykorzystywana — to już stanowi zagadnienie dalsze i logicznie nieistotne. Wystarczy, że w pierwszej fazie mamy powstanie wkładu (bądź innego odpowiednika zwiększonej zdolności kredytowej banków) jako drugą stronę faktu udzielenia kredytu, umożliwionego skądinąd przez wkład pierwotny. Jeżeli globalna suma wkładów bankowych w kraju = M, wzrośnie wskutek nowego wkładu w wysokości = a, zaś bank otrzymujący wkład powiększy udzielone kredyty w wysokości = 0,9a, to w związku z udzieleniem kredytu globalna suma wkładów bankowych wzrośnie z kolei do:

$$M + a + 0{,}9\,a = M + 1{,}9\,a$$

Tymczasem suma ta wynosiłaby jedynie M + a, *gdyby kredyt = 0,9a nie został udzielony*, jakkolwiek przyczyny ekonomiczne powstania tego kredytu mogły być b. różne, będąc ponadto obojętne z punktu widzenia rozpatrywanych zjawisk.

Druga część cytaty „rozwiązująca zagadkę kredytu bankowego" jest zdaje się oczywistością, ale nie pozostaje w związku koniecznym z problemem tworzenia lub nietworzenia wkładów poprzez kredyt, ponieważ przyśpieszenie obiegu pieniężnego dokonać może się poza aparatem kredytowym. Wszakże ścisłe omówienie powyższego problemu wymaga włączenia czynnika, o którym nie znaleźliśmy wzmianki w omawianej rozprawie, a mianowicie czynnika czasu. Jego obecność występująca wyraźnie w problemie szybkości obiegu, jest również *nieodzowna* przy rozwiązaniu i rozwinięciu sprawy zasadniczej, tj. kreowania kredytów i wkładów.

Pozwalając sobie na powyższe krytyczne obserwacje pragniemy jednak zwrócić uwagę i na dalsze rozważania autora, niezmiernie ciekawe, choć niestety nierozwinięte w punkcie, jak sądzimy, najbardziej istotnym. Prof. Młynarski twierdzi mianowicie że „masa... wkładów czekowych, która z natury swej nie powinna być źródłem kredytu, stanowi dzisiaj jedno z główniejszych źródeł... i *fałszuje stosunek inwestycji do rzeczywistych oszczędności.* Wówczas wcześniej lub później musi się każdy boom zamieniać w dłuższą lub krótszą depresję".

Rozwinięcie powyższego twierdzenia byłoby ważkim przyczynkiem do poznania właściwych metod finansowych, a nam dałoby okazję do ponownego sygnalizowania Czytelnikom poglądów prof. Młynarskiego.

pt. as.

O MAŁĄ REFORMĘ

Podatkami pośrednimi (akcyzami) są daniny pobierane *pośrednio* od płatnika - konsumenta przez urzędy skarbowe via producent bądź importer przy sprzedaży szeregu artykułów powszechnego użytku.

Do zagadnienia podatków pośrednich można podejść z trzech punktów widzenia: ortodoksyjnie - fiskalnego, ogólno - gospodarczego i społeczno - gospodarczego. Oczywiście podejście jednostronne byłoby najgorsze i w praktyce chyba rzadko spotykane. Dla uporządkowania rozumowania musieliśmy jednak powyższe rozróżnienie wprowadzić.

Z punktu widzenia fiskalnego wszystkie podatki, podpadające pod wyżej cytowaną definicję, mają jednakowe znaczenie. Podatkami pośrednimi będą w Polsce opłaty skarbowe od: cukru buraczanego i skrobiowego, wina i piwa, drożdży, sztucznych tłuszczów jadalnych i mięsa, olejów mineralnych (w tem nafty), kwasu octowego i kwasu węglowego, energii elektrycznej, węgla, akcyzy drogowe, opłaty od zapalniczek i kart do gry [1]). Wartość podatków pośrednich dla fiskusa polega przede wszystkim na łatwem dostarczaniu środków finansowych.

Z punktu widzenia ogólno - gospodarczego niektóre z wymienionych opłat mają znaczenie specjalne, przyczem ich wartość fiskalno-skarbowa jest na dalszym planie. Typowym tego przykładem jest opodatkowanie sztucznych tłuszczów jadalnych przy jednoczesnem zwolnieniu niektórych z nich z pod opodatkowania. Mianowicie zwolnione zostały z pod ciężaru podatkowego tłuszcze wyprodukowane z surowców krajowych. Tą drogą pośrednią realizuje się preferencję krajowych surowców tłuszczowych i tłuszczów. Znaczenie polityko - gospodarcze omawianego podat-

---

[1]) Wg Encyklopedii Nauk Politycznych. T. I., str. 90 — 91.

ku jest niewspółmiernie większe od jego wartości skarbowej.

W swych ekonomicznych skutkach niektóre opłaty monopolowe niczym się nie różnią od podatków pośrednich. Pomimo odmiennej formy opłat monopolowych ich gospodarcza treść i sposób uiszczania przez płatnika są identyczne z akcyzami. Wobec tego w dalszych uwagach zajmiemy się również niektórymi opłatami, ściąganymi przy sprzedaży artykułów monopolowych.

W tej samej płaszczyźnie należy postawić fiskalne cła.

Z punktu widzenia społeczno - gospodarczego wysuwają się na plan pierwszy momenty sprawiedliwości społecznej. Chodzi o sprawiedliwy rozkład obciążenia podatkowego pomiędzy płatników podatków. Charakterystyczną bowiem stroną omawianej kategorii opłat jest łatwość i dogodność ich ściągania dla Skarbu, przy jednoczesnem niesprawiedliwem i nieproporcjonalnem obciężeniu płatników tych podatków. Oczywiście stopień „niesprawiedliwości" zależy od tego jaki artykuł jest obciążony opłatą skarbową, bądź monopolową lub cłem. Jeśli będzie chodziło o artykuł najpierwszej i najpowszechniejszej potrzeby np. *sól* — obciążenie jej kwalifikuje się jako najbardziej niesprawiedliwe; gdy wchodzą natomiast w grę opłaty od srebrnych czy złotych zapalniczek, bądź cła od najdroższych win czy perfumerii, obciążenia z tego punktu widzenia nigdy nie będą zbyt wysokie.

Na tem miejscu pozwolę sobie zacytować ocenę obciążenia opłatami soli i charakterystykę podatków pośrednich w ogóle, dokonaną przed *44-ma laty* przez J. Piłsudskiego.

W korespondencji z Wilna do „Przedświtu" 1893 r., przy okazji omawiania projektów skarbowych Wittego, Piłsudski pisze: „Dla doprowadzenia finansów Państwa do równowagi powiększono akcyzę na cukier, wódkę, piwo, tytoń, zapałki i naftę, a teraz już istnie projekt wprowadzenia tak *wstrętnego podatku, jak akcyza na s ó l*"[2]).

Dalej idzie cytata z raportu Wittego — „Ministerium Finansów zmuszone szukać środków do powiększenia zasobów finansowych uznało za najwłaściwsze uciec się najpierw do takich źródeł dochodów, które są najbardziej elastyczne i dogodne, czy to dlatego, że się do nich ludność *przyzwyczaiła*, czy też z natury samego systemu opodatkowania. Podatki pośrednie mają stanowczo przewagę nad bezpośrednimi, gdyż samo ściąganie ich jest łatwiejsze, nie wymaga ono bowiem środków przymusowych, przy tem opłacają się one w miarę, jak się opodatkowane produkty spożywają, stopniowo i w takim czasie, gdy płacący ma środki do zakupienia tych produktów, zatem i do opłacenia. Wreszcie z natury swej podatki pośrednie w każdej danej chwili obficiej są opłacane przez tę część ludności, która ma więcej zasobów pieniężnych, a zatem i w ogóle *rozkładają się mniej więcej w stosunku do zamożności opodatkowanych*". Cytatę tę Piłsudski opatruje takim komentarzem: „Tu co słowo, to fałsz krzyczący, przeczący nie tylko sprawiedliwości, lecz nawet twierdzeniom umiarkowanych finansistów". (Pisma mowy i rozkazy t. I, str. 6—7).

W trzy lata później w innem miejscu w artykule drukowanym w „Robotniku", przy okazji omawiania rosyjskiego budżetu, który jak wiemy słynął z przewagi w nim dochodów z podatków pośrednich („pijany budżet"), znajdujemy taki ustęp: „Tą drogą ukrytą, jak złodziej kieszonkowy, rząd najwięcej wyciąga pieniędzy z kieszeni robotniczych. Jest to *najniesprawiedliwszy sposób pobierania podatków*, obliczony na to, aby niepostrzeżenie dla ludu zepchnąć nań główny ich ciężar. Boć tutaj biedny na równi z bogatym jest opodatkowany". Nie jestem specem od podatku lecz w znanej mi literaturze nie spotkałem się z bardziej plastyczną charakterystyką podatków pośrednich. Tak samo jak nie znam bardziej perfidnego ich umotywowania (Witte) i właściwej jego oceny. (podkreślenia nasze).

O wielkiej reformie systemu podatkowego w Polsce mówi się od dawna. Do realizacji zapowiedzi jakoś nie przychodzi, aczkolwiek od czasu do czasu dokonywuje się niwelacji rażących dysproporcji. Pragniemy tu właśnie podkreślić potrzebę usunięcia paru takich niesprawiedliwości przez dokonanie małej reformy systemu obciążeń. Zastrzegam się przy tem, iż sprawa ta mnie — jako laika w sprawach podatkowych — obchodzi przede wszystkim od strony społeczno-gospodarczej.

Jak to czytelnik mógł wnioskować z dotychczasowego naszego rozumowania jesteśmy zwolennikami w niektórych wypadkach całkowitego zniesienia obciążeń, w niektórych zaś bardziej racjonalnego ich rozkładu włącznie z powiększeniem obciążeń w innych. Z pośród artykułów pierwszej potrzeby, niesłusznie obciążonych opłatami — naszem zdaniem — najbardziej nieracjonalne jest obciążenie soli i nafty, jako artykułów używanych przez najbiedniejszą ludność. Opłaty monopolowe od soli przynoszą około 45 milionów zł, zaś akcyza od nafty ca 10 mlionów zł. Ogółem więc chodziłoby o zmniejszenie wpływów Skarbu Państwa o ca 55 milionów zł. W wypadku zniesienia omawianych opłat, faktyczne zmniejszenie obciążenia społeczeństwa byłoby niewątpliwie większe, gdyż jednocześnie nastąpiłaby redukcja kosztów związanych z ich ściąganiem.

Jeśli chodzi o rekompensatę projektowanego ubytku dochodów skarbowych, to widzielibyśmy ją w silniejszem obciążeniu importu artykułów luksusowych, oraz w słuszniejszem rozłożeniu innych podatków bezpośrednich, przede wszystkim dochodowego.

Wśród pozostałych podatków pośrednich, dokonana przed półtora laty obniżka cen cukru i osiągnięte tą drogą wyniki, wskazywałyby na możliwości obniżenia akcyzy i wyrównania niedoboru wpływów (wywołanego redukcją wysokości opłat), przez ich zwiększenie w wyniku wzrostu konsumcji. Do zbadania byłoby przy tem zagadnienie dostarczenia taniego cukru do produkcji przetworów owocowych. Nie wykluczone, że analogiczne operacje można byłoby dokonać w inych wypadkach. Sprawa ta wymagałaby przestudiowania.

---

[2]) Złośliwem zrządzeniem losu preliminarz budżetowy, przewiduje na 1937/38 r. wpłatę do Skarbu Państwa przez Monopol Solny w wysokości... 44 milionów zł.

W omawianym zakresie mogłyby być dokonane też i inne zmiany. Np. ze struktury wpływów z opłat pobieranych przy sprzedaży wyrobów tytoniowych (vide preliminarz), oraz ze struktury wysokości stawek opłat — największe stawki w %% są przy największych wpływach — można domniemywać, że najwyższe względne stawki opłat obciążają najtańsze wyroby tytoniowe. Z punktu widzenia społeczno - gospodarczego słusznem byłoby odwrócenie drabinki opłat tak, aby najwyższe stawki odpowiadały najdroższym wyrobom. Ponieważ jednak według wszelkiego prawdopodobieństwa na owo „odwrócenie" nie pozwalałyby względy fiskalne, należałoby obniżyć przynajmniej w pewnym stopniu opłatę od najtańszych wyrobów tytoniowych, które w dodatku, prawdopodobnie, są produkowane z surowców krajowych, a podwyższyć od najdroższych.

Możliwości i potrzebę dokonania rewizji istniejącego stanu rzeczy w zakresie niektórych obciążeń społeczeństwa widzimy jeszcze i z tego względu, że struktura naszego systemu fiskalnego jest w dużym stopniu wzorowana na państwach zaborczych, skąd wyszli pierwsi nasi urzędnicy, w początkach istnienia Rzeczypospolitej. Nie mówimy o tem, aby czynić komukolwiek z tego tytułu zarzuty. Po prostu „wybuch" niepodległości zastał nas nieprzygotowanych w wielu dziedzinach do wprowadzenia *samodzielnych* form życia gospodarczego, a systemy zapożyczone nie odpowiadają naszej rzeczywistości społeczno - gospodarczej. Najlepszym tego przykładem może być taryfa celna, która była początkowo niemal dosłownem przetłumaczeniem taryfy rosyjskiej.

Konkretyzując nasze wywody stawiamy wniosek o zniesienie opłat pobieranych przy sprzedaży *soli*, jako artykułu najpierwszej potrzeby, spożywanego przez najuboższe warstwy społeczeństwa. Nie będzie to żadne nowum, gdyż np. pobór akcyzy od węgla jest zawieszony.

p. k.

STANISŁAW TERECHOWICZ

INTERWENCJONIZM KREDYTOWY WSPÓŁCZESNEJ ANGLII

Jaskrawy przykład rozwoju interwencjonizmu angielskiego w okresie powojennym stanowią przeobrażenia na rynku pieniężno - kredytowym, wywołane zmianami w strukturze tego rynku.

Jest rzeczą powszechnie znaną, iż system obiegowy angielski składa się w głównej mierze z depozytów bankowych, które powstają niekoniecznie drogą uprzedniego dokonania wkładu pieniężnego, lecz mogą być tworzone podobnie jak emisja banknotów w bankach centralnych drogą dyskonta, udzielania pożyczek pod zastaw papierów, lub też otwartego kredytu. Depozyty są uruchamiane przy pomocy wystawiania czeków i obiegają jak zwykły banknot dopóty, dopóki trwa pożyczka. Przy spłacie pożyczki depozyt zostaje skasowany. Depozyty tworzone przez jedne banki przenoszą się do innych, gdy ktoś po otrzymaniu czeku wpłaca go na swój rachunek w innym banku. Salda jakie powstają między bankami, są wyrównywane w drodze rozrachunku znów czekiem na Bank Angielski, czyli odstąpieniem części posiadanego tam depozytu. W ten sposób za „gotówkę bankową" uważa się całość depozytów posiadanych przez banki w instytucji centralnej, wraz z rezerwami kasowemi poszczególnych banków. Depozyty Banku Angielskiego opierają się na „rezerwie" Departamentu Bankowego, składającej się z banknotów złota i bilonu. Ponieważ przed wojną i po roku 1925 Bank Angielski mógł powiększać emisję banknotów tylko drogą kupna złota przeto „rezerwa" była wielkością nie elastyczną. Ponieważ rynek angielski był otwarty dla całego świata, panika powstała nawet na innej półkuli odbijała się na rezerwie Banku Angielskiego, a co zatem idzie na płynności rynku angielskiego, który w ten sposób mógł ulegać zupełnie nieprzewidzianym i nieraz przykrym dla życia gospodarczego wahaniom.

Przed wojną wahania te rzadko przybierały charakter gwałtownych ruchów, to też można było im zaradzić przy pomocy zwyżki stopy procentowej, która działała jako czynnik skutecznie regulujący ruch kapitałów i złota. Oczywiście zmiany stopy procentowej powodowały pewne perturbacje w życiu gospodarczem, lecz na ogół nie brano ich poważnie w rachubę. Parokrotnie tylko Bank Angielski zmuszony było do zawieszenia aktu Peela, nie mogąc wytrzymać gwałtownego nacisku na rezerwę i jednocześnie nie chcąc odmawiać pomocy życiu gospodarczemu w w momencie rozszerzającej się paniki.

Po wojnie, przy odbudowanej walucie złotej sytuacja zasadniczo się zmieniła. Poza normalnym obrotem gospodarczym powstał szereg przyczyn masowych ruchów złota i kapitałów o nieznanej dotąd gwałtowności. Wojna, powodując wyczerpanie gospodarcze większości krajów wojujących, pociągnęła za sobą odpływ złota do kilku krajów neutralnych oraz do Stanów Zjednoczonych. Wprawdzie po wojnie rozpoczął się proces rozprowadzania złota, jednakże nie nie przywróciło to stałej równowagi. Czynnikiem perturbacyjnym stały się z jednej strony olbrzymie długi międzysojusznicze, z drugiej strony reparacje, które pociągnęły za sobą transfery o nieznanej dotychczas wielkości. Kraje niezasobne w złoto i kapitały musiały się uciekać do kredytów nieraz krótkotermino-

wych — kredyty te mogły odpłynąć przy lada niepokoju gospodarczym, a co zatem idzie, spowodować zamęt w systemie walutowym i gospodarczym danego kraju. By łto system „dzikiej“ waluty złotej.

Sprawdzianem podaży kredytu był stan zapasu złota w instytucji emisyjnej, a jak wspomnieliśmy złoto może przypływać i odpływać bez związku z sytuacją gospodarczą kraju, jak np. niedawno obserwowana ucieczka złota z Francji do Anglii i Stanów Zjednoczonych, spowodowana czysto polityczną sytuacją francuską. Tego rodzaju migracje złota, będąc bardzo szkodliwymi dla kraju wysyłającego, są również bardzo niepożądane dla kraju odbierającego. Głównymi narzędziami polityki kredytowej w systemie waluty złotej była stopa procentowa Banku i operacje na rynku otwartym. Podniesienie stopy bankowej zmieniało koszt kredytu krótkoterminowego. Dyskonto weksli stawało się operacją zyskowniejszą, wpływało to na spadek papierów długoterminowych, a więc podnosiła stopę procentową długoterminową. Operacje na rynku otwartym były właściwie środkiem pomocniczym, warunkującym skuteczność polityki dyskontowej. Pierwszą reformę w tradycyjnym ustroju kredytowo-pieniężnym Anglii była zmiana aktu Peela w 1928 roku, która uelastyczniła emisję banknotów, umożliwiając powiększanie obiegu fiducyjnego. Zmiana ta umożliwiła dowolne powiększanie rezerwy bankowej, a przez to regulowanie podstawy kredytowej Anglii bez ubiegania się do zmian stopy dyskontowej, która od dłuższego czasu utrzymuje się tam na bardzo niskim poziomie. Uwolnienie się od potrzeby zmian stopy dyskontowej, a przy tem utrzymanie jej na tak niskim poziomie, stało się jednym z czynników odrodzenia koniunktury, z drugiej strony uwolniło życie gospodarcze od perturbacji, związanych z polityką dyskontową. Ma to doniosłe znaczenie, zwłaszcza jeśli się zważy wrażliwość współczesnego życia gospodarczego na wszelkiego rodzaju impulsy.

Oczywiście, uelastycznienie rezerwy nie rozwiązywało kwestii utrzymania kursów zagranicznych w razie gwałtownego nacisku na zapasy złota Banku Angielskiego. Zmiana ilości obiegu fidycyjnego miała miejsce dwukrotnie: podniesiony on został w roku 1931, gdy rezerwa kredytowa zmalała skutkiem odpływu złota, zmniejszony natomiast w roku 1936 celem zwężenia rezerwy powiększonej skutkiem zakupu złota przez Bank Angielski od Funduszu Walutowego.

Przełomem w systemie kredytowo-pieniężnym Anglii było zawieszenie waluty złotej w roku 1931; uprzednio Bank zmuszony był do wykonywania 2-ch sprzecznych ze sobą fukcji: utrzymania kursów oraz dostosowania rezerwy do objętości kredytu, przy czem raczej objętość kredytu musiała być dostosowywana do rezerwy nieraz z bardzo niekorzystnymi konsekwencjami dla życia gospodarczego. Pomijając nawet fakt, że na skutek zawieszenia waluty złotej i usunięcia stałego niedomagania życia gospodarczego Anglii w postaci przewartościowania funta w porównaniu do innych walut, rezerwy złota Banku Angielskiego zaczęły nieprzerwanie wzrastać — podstawa kredytowa gospodarstwa angielskiego została uniezależniona od wahań kursów zagranicznych, oraz gwałtownych ruchów złota często tak nieprzewidzianych i chimerycznych. Nie znaczy to, iż kwestia kursów zagranicznych pozostawiona została dowolnemu działaniu wszystkich wpływających czynników — przeciwnie stopień utrzymania stałości funta pozwala mówić o powrocie w danym momencie do waluty złotej d e f a c t o — jednak granice dopuszczalnej obecnie elastyczności uwolniły rynek pieniężny angielski od nerwowości, powodowanej potrzebą utrzymania kursu za wszelką cenę, nawet w najbardziej drastycznych sytuacjach.

W okresie po roku 1931 rząd staje się rozstrzygającym czynnikiem na rynku pieniężnym angielskim [1]). Poza możnością kontroli stopy procentowej i ilości „gotówki bankowej“, rząd uzyskuje możność kontroli składu archiwów bankowych, czyli sposobu w jaki rozporządzają one posiadanymi środkami. Wobec zmniejszenia się tranzakcji akceptacyjnych i dyskonta prywatnego, krótkoterminowy rynek pieniężny był zmuszony do dyskontowania głównie weksli skarbowych, co uzależniło go całkowicie od woli rządu. Umożliwiło to rządowi także kontrolę rynku długoterminowego. I tak np. powiększając podstawę kredytową, a jednocześnie ograniczając emisję weksli skarbowych, może rząd zmusić banki do kupna papierów długoterminowych, lub też nowej pożyczki państwowej, lub wreszcie papierów, czy obligacji przemysłowych. Dla poparcia swej polityki może rząd regulować emisję samorządu oraz krajów zamorskich.

Emisja weksli skarbowych, dawniej będąca jedynie wyrazem potrzeb budżetowych państwa, stała się obecnie jednym z narzędzi kontroli rynku. Sam mechanizm emisji weksli skarbowych jest instrumentem precyzyjnym i skomplikowanym. Całość emisji dzieli się na „tender“ (weksle dyskontowane na rynku prywatnym), oraz „tap“ (weksle dyskontowane przez departamenty i instytucje publiczne). Dzięki wielkim funduszom, posiadanym przez instytucje państwowe, weksle mogą omijać rynek prywatny i być lokowane właśnie w instytucjach państwowych. Dzieje się to np. wówczas, gdy rząd stosuje politykę płynności na rynku, zmniejszając swoje dyskonto w bankach prywatnych, lub też wówczas, gdy Fundusz Walutowy sprzedaje złoto, a uzyskaną gotówkę lokuje w wekslach skarbowych. Odwrotnie jest, gdy Fundusz Walutowy kupuje złoto, lub też rząd usiłuje ścieśnić rynek pieniężny. Państwowe dyskonto i jego skład łączy się ściśle z polityką złota oraz polityką kredytu długoterminowego. Jeżeli rząd np. chce stworzyć płynność na rynku celem łatwiejszego umieszczenia pożyczki państwowej, wówczas przecina dopływ weksli na rynek prywatny, lokując je na rynku sztywnym. Do tegoż celu może rząd dążyć nie zmieniając wzajemnego stosunku emisyj weksli skarbowych, natomiast stosując politykę skupu papierów długoterminowych, obniżając tem stopę długoterminową i tworząc dogodne warunki dla emisji nowej pożyczki. Biorąc pod uwagę dwa rodzaje weksli skarbowych, oraz operacje papierami długoterminowymi, można uzyskać kilka możliwości zastosowania weksli skarbowych. W ten sposób już sama obserwacja zmian obu emisji weksli skarbowych daje możność wyciąg-

[1]) Patrz „The Economist“ 8. V. 37 r. str. 340.

nięcia wniosku odnośnie sytuacji rynku, lub nawet zamierzeń rządu.

Rząd może również regulować wielkość zapasów złota Banku Angielskiego. Pomimo braku wymienialności banknotów, zapasy złota mają duże znaczenie psychologiczne, pobudzając lub też hamując ekspansję kredytową. Zresztą nabycie złota przez Bank Angielski automatycznie powiększa obieg banknotów, lub też depozyty w Banku Angielskim, co jest zupełnie identyczne w skutkach. Rząd, o ile uzna to za stosowne może przelać złoto z Banku Angielskiego do Funduszu Walutowego, gdzie ono zostaje sterylizowane i przestaje bezpośrednio oddziaływać na rynek — i odwrotnie może rząd powiększyć zapasy Banku Angielskiego, sprzedając złoto z zapasu Funduszu Walutowego. Wynika z tego, iż rząd posiada dyktatorskie możliwości na rynku kredytowym angielskim. W każdej chwili *może stworzyć taniość pieniądza* i płynność na rynku (powiększenie obiegu fiducyjnego, pożyczanie rynkowi z funduszów instytucji państwowych, ograniczanie emisji zagranicznych i innych na rynku, zmniejszenie emisji weksli skarbowych, sprzedaż złota przez Fundusz Walutowy Bankowi Angielskiemu, przy jednoczesnej spłacie pożyczek, zaciągniętych na sfinansowanie tego zakupu). Równie łatwo może rząd *wywołać podrożenie pieniądza* (zmniejszenie obiegu fiducyjnego, zakup i sterylizacja złota przez Fundusz Walutowy, powiększenie emisji weksli skarbowych, tezauryzacja funduszów przez instytucje państwowe). Poza tem, jak zaznaczono, może rząd regulować *ruch kapitałów* do różnych gałęzi życia gospodarczego. Nie należy z powyższego wyciągać wniosku, iż rząd posiada w tym względzie możliwości nieograniczone nawet prawami ekonomicznymi. Przypuszczenie, iż rząd może utrzymać niską stopę procentową, jednocześnie lokując duże pożyczki na rynku bez skutków inflacyjnych, jest bezpodstawne, zwłaszcza w okresie zwyżkującej koniunktury, gdy wzrost aktywności gospodarczej pochłania rozporządzalne ilości kredytu. Zastrzeżenie to nie ogranicza omówionych wyżej możliwości ingerencji rządowej. Polega ona nie na tworzeniu nowego kredytu, lecz raczej na kontrolowaniu istniejącego, poza tem na neutralizowaniu zjawisk krótkoterminowych, przypadkowych, a nawet pozagospodarczych, które mogą przecież czasami zmienić układ stosunków gospodarczych kraju. O ile zjawiska wewnętrznego rynku pieniężnego z łatwością poddają się kontroli rządu angielskiego, o tyle znacznie trudniejsze jest kontrolowanie zjawisk natury zewnętrznej. Chodzi tu o masowe ruchy kapitałów międzynarodowych, które mogą wywołać poważne zaburzenia w gospodarstwie danego kraju. Odpływ kapitałów, a co zatem idzie i złota lub dewiz, nawet przy braku obowiązków wymiany może okazać się bardzo niepożądany, zwłaszcza o ile dany kraj, jak Anglia, utrzymuje kurs swojej waluty na stałym poziomie. Zjawisko to jednak nie miało miejsca w Anglii w okresie rozpatrywanych zmian systemu kredytowego. Natomiast istnieje w Anglii problem napływu kapitałów obcych. Masowy przypływ kapitałów zagranicznych zawsze musi wywrzeć wpływ na gospodarstwo. Oczywiście, rząd przy pomocy rozporządzalnego mechanizmu będzie usiłował wpływy te neutralizować. Skuteczność kontroli jednak bedzie rozmaita, zależnie od formy lokaty, jaką sobie napływający kapitał obierze. O ile kapitał uciekinierski będzie się lokował na rachunkach w bankach, to wpływ jego ograniczony będzie do rynku krótkoterminowego i łatwo da się zneutralizować, chociażby drogą sterylizacji złota przez Fundusz Walutowy. Natomiast trudne będzie przeciwdziałanie pobudzającemu oddziaływaniu, o ile kapitał taki będzie inwestowany w przemyśle czy innych gałęziach życia gospodarczego (wpływ jego jest wówczas mniej niebezpieczny dla systemu kredytowego). Tempo poprawy gospodarczej Anglii jest w pewnym stopniu tłomaczone napływem kapitałów obcych, które lokowały się w przedsiębiorstwach angielskich. Jeszcze trudniej jest opanować wpływ imigracji kapitałów, o ile lokują się one w pewnej określonej gałęzi życia gospodarczego (np. rynek akcyjny i towarowy w Stanach Zjednoczonych na początku b.r.). Niemniej już możność wyrównawczego oddziaływania na gwałtowne ruchy jest wielką zdobyczą nowego angielskiego systemu kredytowego, zwłaszcza o ile się zważy krótki czas jego istnienia. Nie jest wykluczone, iż udoskonalenie i dokładne zbadanie możliwości tego systemu pozwoli z czasem na skuteczne przeciwdziałanie nawet tendencjom, które dziś wymykają się czynnikom kontrolującym.

NOTATKI

ODPRACOWAĆ !

Były w historii naszej okresy, kiedy Rzeczypospolita musiała zabiegać o względy swych obywateli. Mało: zabiegać — jeszcze musiała wynagradzać ich szczodrze za to, że raczyli chwycić za broń lub poprzeć króla w słusznej dla kraju sprawie.

Dzisiaj wiemy, że okresy te, pełne targów i zapłaty, nie należały do najświetniejszych w naszych dziejach. Dzisiaj rozumiemy, iż Rzeczypospolita ma prawo wymagać, chociażby nic wzamian nie dała albo dała niewiele.

Tem więcej wolno Państwu żądać od obywatela, skoro obywatel czerpie od Państwa korzyści.

Tegoroczny budżet państwowy zawiera w sobie niespełna 2,5 mil. zł na stypendia i subwencje dla uczącej się młodzieży. Zasiłki te są częściowo zwrotne (stypendia akademickie), częściowo darmowe. Państwo niczego nie żąda od tych, co je pobrali.

Ale i w wypadkach, gdy akademik polski otrzymuje od Państwa zasiłek na studia (100.— zł. miesięcznie), wymaga się odeń jedynie, aby z biegiem czasu i w miarę możności kwoty pobrane ratami spłacił. I nic więcej.

Tymczasem tyle dziedzin leży w Polsce odłogiem, tyle jest pracy trudnej i często niewdzięcznej do odrobienia ,tyle trzeba determinacji, aby wziąć na siebie trud (ale i zaszczyt) pionierski, że, doprawdy, Państwo ma prawo i *obowiązek* wezwać młodzież do *odpracowania*, udzielonych stypendiów. Młodzież powinna odpracować w *określonych* działach gospodarstwa narodowego i kultury narodowej. Gdzie nie ma ochotników, tam trzeba ich wyznaczyć. Z pośród tych 2—3.000, którzy — dzięki Państwu — w lepszej znaleźli się sytuacji.

Tak postępują Ukraińcy w Małopolsce Wsch., mimo, że dysponują aparatem społecznym, a nie państwowym. I rezultaty tej metody mają doskonałe. Młodzież polska nie jest od ukraińskiej gorsza. Jest bezsprzecznie lepsza. Niech to okaże!...

z. i.

STRAGAN

Dużo było krzyku i hałasu, kiedy na łamach prasy rozpoczęła się dyskusja na temat, czy chłop ma prawo czy nie ma prawa do straganu. Zrobiła się z tego kwestia w wielkim stylu, rozważano ją pod kątem mocarstwowym i zasadniczym, jednych bolało, że Żydzi na tem stracą, drugich — że spółdzielczość...

Z poruszenia problemu, który od strony ideowej jest daleko prostszy, a od technicznej — bardziej skomplikowany, niż się to wydaje — powstała już pewna rzecz konkretna. Mamy tu na myśli pismo tygodniowe „Stragan", poświęcone — jak czytamy w podtytule — rozwojowi straganiarstwa i handlu drobnego. Pismo wychodzi — od paru zaledwie tygodni — w Wilnie, gdzie Towarzystwo Oświaty Zawodowej (jego wydawca) przeszło od poezji do rzeczywistości t.j. do systematycznej propagandy i, co ważniejsza, nauki w zawodzie straganiarskim.

Na szczególne podkreślenie zasługuje odwaga, z jaką T. O. Z. podjęło się obrony i rozwoju odcinka, o nazwie dość niepopularnej i, chciało by się rzec, reakcyjnej. Każdy, kto ostatecznie zdecyduje się zrezygnować ze wspaniałej kariery urzędniczej (państwowej, samorządowej, organizacyjnej czy prywatnej) i pójść na drogę kupiecką, marzy odrazu o firmie w skali Herzego, Bruna lub Braci Jabłkowskich. Ale stragan, handel kramikarski? To dobre dla nieokrzesanych chłopów, dla wykolejonych bezrobotnych, ale nie dla młodzieży, czekającej na przewrót — wszystko jedno z jakiej strony — i na mannę z nieba w postaci pensji za nieróbstwo.

Wileńscy zawodowcy myślą i działają trzeźwo. Organizują kursy straganiarskie i — same stragany. Uczą poszanowania każdej pracy, nawet w jakimś tam kramiku, i uczą jak trzeba handlować. Nie stwarzają warunków cieplarnianych, lecz uprzedzają o twardej ciężkiej przyszłości, której sprostać nie każdy potrafi. Nie myślą o zbawianiu Ojczyzny, ale udzielają straganiarzom porad branżowych. Czegoż chcieć więcej?...

k. b.

NIEPUNKTUALNY „ROCZNIK"

„Mały Rocznik Statystyczny" (mały formą, ale bogaty treścią) jeszcze się dotychczas nie ukazał.

Nie trzeba podkreślać, że opóźnienie w wydaniu tak nieocenionej publikacji jest pod każdym względem niepożądane. Wywołuje ono podejrzliwość i obawy, czy się aby co nie popsuło w statycznem „państwie duńskim", które nas przyzwyczaiło do punktualnego na ogół wypuszczania w świat swych — tak bardzo pożytecznych — wydawnictw.

Opóźnienie z „Małym Rocznikiem" o miesiąc powoduje duże trudności w pracy każdego, kto się styka z zagadnieniami gospodarczemi, a takich ludzi jest przecież w Polsce (nawet w Polsce!...) bardzo wielu. Nie znamy przyczyn zwłoki, nie widzimy jednak dostatecznego ważkiego powodu wstrzymywania publikacji, na którą się oczekuje z niecierpliwością. Główny Urząd Statystyczny zaprzestał już drukowania — poza „Wiadomościami Statystycznemi" — wydawnictw periodycznych, trudno więc przypuszczać, że to nadmiar pracy stanął mu na przeszkodzie w punktualnym wypełnianiu swoich obowiązków.

Tak czy inaczej, stało się niedobrze, iż G. U. S. dopuścił do tego, że „Mały Rocznik Statystyczny" nie ukazał się w ciągu pierwszego półrocza. Zbytnio rozciągnięty dystans, dzielący datę ukazania się „Rocznika" od ostatniego dnia roku sprawozdawczego (w danym wypadku — 1936), jest i dla czytelnika i dla wydawcy mocno niepożądany.

Punktualność jest cnotą mężów stanu i... dobrą stroną wydawnictw statystycznych. Przynajmniej nas tego nauczył G. U. S. Nie chcemy się odzwyczajać.

br.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
JACEK RUDZIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.